

ATLANCI
TOM I
KAKRACHAN

Olis Nari Lang

ATLANCI
TOM I
KAKRACHAN



WYDAWNICTWO AZYL

*Skoro tak wiele rzeczy, których nie byliśmy sobie
w stanie wyobrazić, już się zdarzyło, to dlaczego to,
co sobie dopiero wyobrażamy, nie może być prawdą...*

W zamierzchłej tradycji Zuni, jednego z najstarszych ludów Ameryki Północnej, w do dziś zachowanych i praktykowanych obrzędach mówi się wprost o odwiedzinach Kaczina, istot z gwiazd. Wyryte przez Indian tysiące lat temu w skałach Nowego Meksyku petroglify przedstawiające gwiazdy, przedmioty i postacie w wielu wyobrażeniach przypominają wyglądem wyposażenie dzisiejszych astronautów...

W odległości 59 kilometrów na północny zachód od Dublina, otulony soczystą zielenią pól, znajduje się dolmen New Grange. Ma średnicę 95 i wysokość 15 metrów, a do jego budowy użyto 400 monolitów i co roku, zawsze 21 grudnia, od tysięcy lat powtarza się w nim promienisty spektakl...

Na południe od Limy w Peru, w kierunku płaskowyżu Nazca, w dolinie Pisco, przez wzgórze ciągnie się wielokilometrowa wstęga, składająca się z ciemnych dziur w ziemi. W tej perforowanej taśmie wszystkie dziwne dziury są dziełem człowieka, a w jednym szeregu znajduje się zawsze osiem dołków...

Podczas badań prowadzonych w Dwarace, jednym z najstarszych siedmiu miast Indii, leżącym nad dzisiejszą zatoką Kutch między Bombajem a Karaczi, odkryto, że znaczna część miasta znajduje się pod powierzchnią morza. Geolodzy, którzy brali udział w badaniach podwodnych ruin, natknęli się na szczątki wykazujące ślady zeszklania. Mimo że tego rodzaju zeszklania znajdują się nie tylko w Dwarace, lecz także w innych miejscach, do tej pory nie znaleziono jednak prawdopodobnego wytłumaczenia tego zjawiska. A kamień topi się dopiero w bardzo wysokiej temperaturze...

W Copán, w kraju Majów, odkryto podziemną świątynię, która zdaniem specjalistów mogła być grobowcem założycie-

la dynastii Yax K'uk'MO. Początkowo żaden z naukowców nie mógł wejść do środka, bowiem pomieszczenie odizolowane mikią było wypełnione niezwykle trującą rtęcią. Zastanawiające jest, że w innych miejscach – zarówno w Ameryce Środkowej, jak i na innych kontynentach – znaleziono podziemne komory z miki, których przeznaczenia naukowcom do dziś nie udało się wytłumaczyć...

W prehistorycznej jaskini Lascaux we francuskim departamencie Dordogne znajdują się rysunki naskalne, przedstawiające dokładne obrazy gwiazd i całych gwiazdozbiorów Skropiona, Barana, Byka, Koziorożca itd. Kiedy dokładnie zmierzono wszystkie punkty oraz linie postaci zwierząt, okazało się, że zarówno usytuowanie jaskini według kryterium przesilenia letniego, jak i umiejscowienie poszczególnych gwiazdozbiorów odpowiada obrazowi nieba sprzed 17 tysięcy lat...

W Rijckholt w Holandii odkryto w ziemi szyby, z których wydobyto tysiące wykonanych z krzemienia siekier. Na podstawie liczby i wielkości sztolni można wyliczyć, że w epoce kamienia wydobyto około 41 250 metrów sześciennych brył krzemienia. Z takiej ilości można wyprodukować 153 miliony siekier. 15 tysięcy zlokalizowano w sztolniach, według zaś skromnych szacunków pod ziemią musi być ich jeszcze około 2,5 miliona. A to wszystko działo się ponad 10 tysięcy lat temu...

Na południe od Kairu i na zachód od Memfis znajduje się starożytna metropolia Egiptu, Sakkara. Odkryto tam ogromny i skomplikowany system podziemnych tuneli i pomieszczeń. Egipciolodzy mówią co prawda o podziemnych komorach i tunelach pod piramidą schodkową jako o pomieszczeniach

związanych z kultem grobowym Dżesera, lecz nie wspominają o setkach tuneli w innych miejscach. Zresztą jakoś wykonania tuneli wskazuje, że nie mogły zostać wykute za pomocą miedzianych dłut i kamiennych pobijaków...

W Luzon na Filipinach, około 250 kilometrów na północ od Manili, 1330 metrów nad poziomem morza, znajduje się Ósmy Cud Świata inżynierii agrarnej. Ryżowe tarasy Banaue ciągną się na 19 600 hektarów. Gdyby ułożono je obok siebie, to pola ryżowe utworzyłyby linię o długości połowy ziemi. Ich wysokość przekracza wymiary najwyższego drapacza chmur. Kto i kiedy je wybudował, pozostaje tajemnicą. Ale jeszcze większą tajemnicą owiana jest odpowiedź na pytanie: po co ówczesnej, nielicznej, lokalnej społeczności tak ogromne spichlerze...





Nie mogła się bać. Strach trzeba odrzucić – czyż nie to zawsze powtarzała swoim uczniom? Do tej pory wszystko szło dobrze. Pierwsza część planu została zakończona. Uciekła i nikt jej nie ścigał. Spojrzała na przyrzędy. Nic. Nawet śladu pościgu. Udało jej się przewidzieć, co może się wydarzyć i potrafiła to wykorzystać.

Najważniejszy krok został zrobiony. Teraz trzeba już tylko skutecznie ukrywać się do końca życia...

Była prawie na miejscu. Jak wszystkie pozostałe wazimy, także i ten skierowała daleko od miasta. Tylko w ten sposób miała jakąś szansę.

Obniżając wysokość, musiała zgasić wszystkie światła, aby stać się niewidoczną dla straży miejskich. Co prawda zaplanowała wylądować z dala od siedziby, ale i tak groziło jej, że jakiś nadgorliwiec mógłby się zainteresować nieplanowanym i nieoczekiwanym lotem. Wyłączyła oświetlenie i dopiero wtedy zrozumiała, że jednak nie przewidziała wszystkiego. Noc była tutaj ciemna, niebo zasnute chmurami. Ani śladu jasnych

gwiazd czy księżycy. Była jak ktoś, kto właśnie stracił zdolność widzenia. Pozostała jedynie perfekcyjna nawigacja. Musi tylko dokładnie wylądować na zaplanowanej pozycji. Nic więcej.

Zniżała się do poziomu „Zero”. I wtedy to zobaczyła.

Przyglądała się uważnie, ale miała problem z określeniem, co to było. Wciąż, zgodnie z planem lotu, obniżała wysokość, stale wysilając wzrok. Światła. Światła by pomogły, ale przecież nie mogła teraz zdradzić nikomu swej pozycji.

Tam gdzie powinna być wykarczowana i wyrównana polana, rosły kilkuletnie drzewa. Ale było już za późno na jakiegokolwiek korekty lotu. Była na poziomie „Zero” – teraz nie byłaby w stanie wystarczająco szybko wznieść się do góry. Uderzyłaby w otaczające polanę ogromne drzewa.

Czy nikt już nie potrafi porządnie zrobić mapy terenu? Co za nieuk jej nie zaktualizował? To niesłychane, jak takim ignorantem udało się osiągnąć tak wiele...

Bardzo powoli obniżała lot. Przeszła na ręczne sterowanie. Najwolniej i najdelikatniej, jak tylko mogła, starała się osiąść na ziemi. Poczuła, że jednak zdecydowanie źle wybrała miejsce.

W miejscu, gdzie lądowała, znajdował się spory zagajnik młodych drzew. Przez dno kabiny starały się przebić do środka gałęzie większych i silniejszych drzew. Pojazd zaczął się groźnie przechylać, a ona nic nie mogła zrobić. Pchany jeszcze resztkami energii wazim rył ziemię i miażdżyłabinę. Miażdżył także jej nogę. Ból był nie do zniesienia. Nie była pewna, ale chyba słyszała swój własny krzyk. Spróbowała zasłonić usta rękoma.

Wreszcie pojazd się zatrzymał.

Powinna jak najszybciej opuścić statek. Rozejrzała się po kabinie. Wazim leżał na boku. Na szczęście wyjście pozostało niezablokowane. Dźwignia otwarcia znajdowała się przy siedzeniu pilota, wystarczyło ją pociągnąć. Już. Jak to jest, że zwykle mechanizmy okazują się dużo pewniejsze niż cała ta zaawansowana technika? Otworzyła właz. Chwyliła krawędź

i podciągnęła się. Jej policzki owiał chłodny wiatr, zaczerpnęła świeżego powietrza. Pachniało budzącym się życiem. No tak, przecież tutaj zaraz rozpocznie się okres wegetacyjny. Ten chłód i zapach życia obudził w niej nowe pokłady energii. I ona musiała przeżyć. Miała przecież dla kogo. Wspięła się na wierzch wazimu.

Tylko jak zejść? Jak zeskoczyć na ziemię z pogruchotaną nogą? Nie miała wyjścia, musiała skakać. Przecież nie było czasu do stracenia. Zaciśnęła zęby i skoczyła. Upadła na ziemię i zawyła z bólu. Jej stopa wyglądała niepokojąco, przekręcona pod dziwnym kątem.

Nie widziała, czy jej noga, a w zasadzie to, co z niej zostało, było zwichnięte, złamane czy pogruchotane. Zresztą nie miało to chyba w tej chwili większego znaczenia – i tak bolało straszliwie. A do tego upływ krwi był duży. Musiała szybko zatamować krwotok. Przecież te ślady ją zdradzą. Będą wiedzieć, że tu wylądowała.

Szybko przewiązała ranę udartym z koszuli rękawem i zatamowała krwotok. Przynajmniej nie zostawi wszędzie swojego materiału rozpoznawczego. Musiała jak najszybciej oddalić się stąd i z bezpiecznej odległości wysadzić statek. Podłożyła ładunki partonowe i uruchomiła samozniszczenie. Ładunki wzięła ze sobą na wszelki wypadek, a teraz okazały się przydatne. Bardziej ufała im niż automatowi. Partony umieściła także we wszystkich pozostałych statkach. Tak, aby wszędzie osiągnąć ten sam efekt. I po to, aby zostawić jak najmniej szczegółowym analizom śledczych.

Dostrzegła sączącą się przez opatrunek krew. Rana musi być naprawdę głęboka. Jednak nie to było najgorsze. Nieporównywalnie mocniej bała się o to, czego nie widziała, bo przecież to nie o siebie bała się najbardziej. Czy podczas lądowania i zeskoku z wazimu nie stało się nic złego? Wzięła co prawda pomoce medyczne, ale czy to wystarczy?

Ciągnąc za sobą złamaną nogę, oddalała się od statku. Tak szybko jak mogła, uciekała. Dalej. Jeszcze dalej. I jeszcze. Jaka odległość była dobra, jaka bezpieczna? Jak najdalsza, podpowiadał jej rozsądek. Brnęła i brnęła więc w otaczający ją las. Coraz głębiej.

W pewnym momencie poczuła, że nie da rady iść dalej. Stała się. Drążącą ręką podniosła nadajnik i nacisnęła. Ogromny, oślepiający słup ognia rozjaśnił noc. Kolejny element planu się udał. Odwróciła się od ognia i ruszyła z miejsca.

Nagle stanęła jak wryta.

Więc jednak nie przewidziała jeszcze czegoś.

„Nie przewidziałam tego, że ktoś może tu być” – pomyślała, widząc wpatrzone w nią zza gęstych krzewów błękitne oczy.

Nie była sama.

„A co z Kakrachanem? Więc to wszystko na nic?” – to była ostatnia myśl przed tym, jak upadła na ziemię.



2

Właśnie otrzymał dziewiąty raport. Odnaleziono wazimy we wszystkich koloniach. Znowu nic. Ostatnia nadzieja zgasła. Musi o tym zameldować. Tylko jak?

A tak cieszył się, kiedy mianowano go przełożonym wszystkich powietrznych jednostek. Gdyby wtedy choć przez chwilę, choć przez jedną nanosekundę przyszło mu do głowy, że sprawy przybiorą taki obrót, że zdarzy się nieprzewidywalne... Pewnie nie przyjąłby tego zaszczytu. Raczej posłuchałby swej fili, która cały czas powtarzała: im wyżej siedzisz, tym boleśniej odczujesz upadek. Znow miała rację.

Ale nie! Jeszcze podczas ostatniego obrotu wszystko przebiegało naturalnie i zgodnie z wyznaczoną misją. Jakkolwiek okoliczności samobójczej śmierci Rosada nie pozostawały bez komentarzy i wszędzie dało się słyszeć różne domysły i plotki, to on jednak wierzył, pragnął wierzyć, że jego poprzednik po prostu nie potrafił się odnaleźć w nowych okolicznościach. Na usprawiedliwienie tej sytuacji znalazł w tamtym czasie wiele wytłumaczeń – że miał, o czym wiedziała cała społeczność,

problemy rodzinne, że zbyt duża presja wyników, jaka na nich wszystkich spoczywała, zrobiła swoje. Albo to, że Rosad był zbyt miękki i słaby psychicznie.

Tak zatopił się w swych rozmyślaniach, że nawet nie zauważył, kiedy stanął przed Salą Narad. Krótko zameldował stojącym przed drzwiami strażnikom:

– Starkis do Dowódcy dowódców, do Chartrosa.

„Cóż, jak widać, los nie był jednak dla mnie łaskaw. Może kiedyś się odmieni” – pomyślał, otwierając drzwi i wchodząc do ogromnego pomieszczenia. Zawsze, kiedy je odwiedzał, zachwycał się jego wielkością, prostotą i chłodną elegancją. Zawsze, ale nie dzisiaj.

Chartros był w sali sam, siedział pochylony nad okrągłym Stołem Narad. Cichy, skupiony, nieobecny. Widać było, że wydarzenia ostatnich dni odbiły na nim swoje piętno. Wejście Starkisa pozostało niezauważone, chciał więc zaznaczyć swoją obecność, ale jeszcze nim zdążył otworzyć usta, już padło pytanie:

– Nie znaleźliście jej, prawda? – Spojrzał uważnie na Dowódcę i odniósł dziwne wrażenie. Może to przemęczenie i stres, ale wydawało mu się, że w kącikach ust Chartrosa pojawił się grymas uśmiechu, jakby cień podziwu i uznania.

– Wszystkie pojazdy zostały zniszczone. Obawiam się, Fendi, że Atla nie przeżyła ucieczki.

– Co się stało z wazimami?

– Siedem rozbitych, dwa zatopione. Każdy zniszczony zupełnie, nic z nich nie zostało. Przeszukujemy wraki, aby odnaleźć jej szczątki.

– Strata czasu. Nic w nich nie znajdziecie.

– Ale...

– Czy sądzisz, że Atla tak po prostu zginęła, bo nie potrafiła wylądować? Czy uważasz, że ktoś taki jak ona nie przewidział wszystkiego i to dziesięć ruchów naprzód?!

– Ale...

– A w ogóle skąd u ciebie ta pewność, że działała sama, że nikt jej nie pomagał? Skąd ta pewność, Starkis, skąd?!

Milczał, zastanawiając się. Czyżby Chartros nie przeceniał jej zbyttnio? Przypomnił sobie, kim była i czym się zajmowała. Jakie projekty prowadziła i że udało jej się osiągnąć nawet to, co wydawało się niemożliwe. I wtedy zrozumiał, że to on popełnił błąd. Nie docenił jej.

– Musisz ją odnaleźć – Chartros powtórzył dobitnie.

– Ależ Fendi, ona może być wszędzie. Mamy dziewięć miejsc do przeszukania, każde zamieszkałe przez ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, każde zajmuje obszar ponad dwunastu soli, nie wspominając o terenach poza koloniami... A ona przecież nie chce, aby ją znaleźć. To zajmie nam wiele obrotów, Fendi.

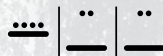
– A ty spieszysz się gdzieś, Starkis? – Lodowaty ton jego głosu nie pozostawiał żadnej wątpliwości co do tego, co w tej chwili miało być priorytetem. I dużo łagodniej dodał: – Mamy przecież czas, prawda? Mamy przecież mnóstwo czasu.

– Rozkaz, Fendi – rzekł Starkis, oddalając się w stronę wyjścia. Gdy dotykał włącznik, zatrzymał go ponownie ten sam zimny, mrozący krew w żyłach głos.

– Pamiętaj. Musisz ją odnaleźć. Znajdź ją, Starkis, i odzyskaj to, co zostało mi bezprawnie odebrane.

Starkis musiał wyjść stąd natychmiast, nim osławiony temperament Chartrosa znajdzie swoje ujście. Właśnie chciał zrobić kolejny krok, aby opuścić już to miejsce, kiedy dobiegły go ostatnie słowa Dowódcy.

– I upewnij się, że nikt więcej nie uczestniczy w tym buncie!



Raport: Kolonia Supala 9/9

Od: Starkis

Do: Chartros

Czas:

- geologiczny: 1500 obrotów od zlodowacenia północnego,
- lokalny: 234 obroty od założenia Atlantydy,
- Supali: miejscowi nie prowadzą szczegółowej rachuby czasu, ich datowanie sięga około 750 obrotów wstecz.

Współrzędne szerokości graftowej: 45,35 na 00,05.

Długość istnienia kolonii: 167 obrotów.

Liczba pojazdów: latające 0; budownicze 3, wydobywcze 7.

Liczba ludności: ok. 48,5 tys. Ludność zasymilowana: ok. 46 tys., w tym Braskowie, Palowie, Sulowie. Ludność niezasymilowana: ok. 2,5 tys., plemiona Slavan.

Klimat: umiarkowany, ciepły, przejściowy. Średnia temperatura: najcieplejszej pory 19,3°, najchłodniejszej pory 15°. Okres wegetacyjny: ok. 180 dni. Liczba dni z pokrywą śnieżną: ok. 100 dni.

Surowce: bogate złoża karbonu, błękitnego paliwa; występują także czarne aurum, limonit, hematyt.

System wierzeń: prymitywny. Jedno bóstwo zwane Stwórcą Wszechrzeczy. Liczne obrzędy i święta.

Skład lokalnej społeczności:

Głoszący Prawdę – Mistrzowie i pomocnicy, grupa ok. 30 osób zajmująca się nauczaniem najmłodszej ludności.

Opiekunowie Zwojów – gildia uczonych skupiająca ok. 250 osób wraz z asystentami i kandydatami; depozytariusze wiedzy, poszukiwacze, badacze.

Strażnicy Praw - gildia 50 osób sprawująca nadzór nad lokalnymi strażnikami i wartownikami. Odpowiada za utrzymanie ładu i porządku. Najściślej z związana z Atlantami i bezwzględnie im podporządkowana.

Twórcy - około 7 tys. osób. Niejednolita i silnie zhierarchizowana grupa. Dzieli się na 6 sekcji, w skład których wchodzi: rzemieślnicy, konstruktorzy, projektodawcy, budowniczo wie, wynalazcy, odkrywcy.

Widzący Prawdę - gildia lokalnych przewodników duchowych wraz z pomocnikami i kandydatami skupiająca ok. 150 osób.

Język: proste słownictwo, brak systematyki i zasad. Wiele słów przejęto od Atlantów. Słowa charakterystyczne:

Arkaria - potężne liściaste drzewo z niejadalnymi owocami.

Cykl - jednostka czasu odpowiadająca jednemu obrotowi. Kanid - drapieżnik rasy pierwotnej, w tej kolonii zdarzają się jego udomowione formy.

Orbatol - określenie o wydźwięku negatywnym, zazwyczaj używane przez Supalczyków w stosunku do ludności niezasymilowanej, głównie Slavan.

Satram - największe znane zwierzę lądowe, roślinożerne. Stanowi główne źródło mięsa, a także skór i kości używanych do wyrobu narzędzi i ozdób.

Takt - czterokopytny roślinożerca, całkowicie udomowiony. Zwierzę pociągowe i środek transportu.

Pafros - osoby, od których bezpośrednio pochodzi potomek - ojciec i matka. Podstawowa relacja społeczna.

Cechy charakterystyczne kolonii:

Widzący Prawdę - jedyna niepodporządkowana grupa, powiązana z plemieniem Slavan. Atlanci tolerują ich niezależność ze względu na możliwość asymilacji ostatnich opornych.

Algamat - duży, całkowicie lub częściowo obrobiony kamień stanowiący samodzielną budowlę lub element większej konstrukcji. Data powstania oraz przeznaczenie - nieznane. Obecnie miejsce kultu. Najsłynniejsze Algamaty na tym terenie to „Komnata Królowej” i „Kamienny Las”. Oba obiekty od 55 obrotów wpisane na liście osobliwości jako NT.

Prawdopodobieństwo, że w Supali ukrywa się Atla: 11,1%.



3

*Stwórco wszechrzeczy
Daj nam siłę krzyku, śpiewu tłumu!*

*Stwórco wszechrzeczy
Daj nam same jasne dni!*

*Stwórco wszechrzeczy
Daj nam radość, której szukamy!*

*Stwórco wszechrzeczy
Daj pokonać każdy lęk!*

*Stwórco wszechrzeczy
Daj otworzyć niedostępne bramy!*

Setki głosów głośno powtarzały te same strofy, rytmy, identyczne dźwięki. Rytmiczny hałas dawno temu spłoszył wszelką

zwierzyńę, ptaki także zniknęły i nawet ogromne, pamiętające jeszcze pierwsze cykle arkarie, zdawało się, że chciałyby być gdzieś indziej...

A Widzący Prawdę w swych purpurowych, powiewnych szatach w kapturach zasłaniających całe twarze dalej przewodzili niekończącej się procesji ciał. Na czele szedł Pierwszy wśród Widzących Prawdę, niosąc w dłoniach Plon, a za nim szli pozostali, każdy w sercu dziękując za obecny cykl, prosząc o nowy, jeszcze lepszy, każdy śpiewając tę samą pieśń.

Tłum ludzi gęstniał – przybywali nowi i dołączali do barwnego korowodu. Chyba większość mieszkańców, wszyscy w tradycyjnych odświętnych strojach, zjawiała się, aby świętować koniec pory zbiorów. Tłum był tak wielki, że nie tylko nie było już widać Pierwszego wśród Widzących Prawdę, ale nawet branka niesiona na barkach Czterech była tylko coraz mniej wyraźnym białym punktem. A tłumowi wciąż przybywało.

I już nie setki, ale tysiące głosów donośnie, równo, rytmicznie powtarzało tę samą pieśń. Tę, która jak żadna inna potrafiła łączyć. Wszyscy szli razem, obok siebie, ramię w ramię bez względu na podziały. W tym pochodzie nie było już starców i dzieci, majątnych i żebraków, mędrców i głupców, chromych i ułomnych. Miało się wrażenie, że wszyscy chociażby przez ten moment byli równi...

Temu czarowi, poczuciu wspólnych więzi, podobnych pragnień i potrzeb uległa i ona. Czuła, że te chwile, te wypowiedane, niczym nietłumione dźwięki dają moc, siłę i pewność. Dzięki nim była częścią tej nieogarnionej całości. Dzięki nim wiedziała, że to właśnie tu przynależy. Dzięki nim łatwiej było jej przypomnieć sobie wszystkie prawa i uwierzyć, że można zgodnie z nimi żyć.

Pamiętała treść przysięgi, którą osiem lat temu złożyła, wstępując do Ilumenu, a nazajutrz w tym samym Ilumenie wypowie ją po raz kolejny:

*Stwórco wszechrzeczy
Daj nam odwagę, której chcemy
Daj nam prawdomówność, której potrzebujemy
Daj nam niezależność, której tak pragniemy
Daj nam pracowitość...*

Tak bardzo zapomniała się w pochodzie, śpiewie i magii prastarego gaju, że chciała podejść bliżej, przebić się przez tłum i dotrzeć do samej grupy Widzących Prawdę. Dotrzeć do Pierwszego wśród nich.

W chwili, kiedy uczyniła krok do przodu, Pani Matka zatrzymała ją nagłym, mocnym ruchem ręki.

– Dalema, zostań na miejscu!

No tak, przecież Pani Matka zawsze trzymała się na uboczu, choć była Trzecią w Wielkiej Ławie Strażników Praw i pochodziła z rodu Darumów. Tych Darumów, co – jak zawsze podkreślała – wszystko zawdzięczali sobie i swojej ciężkiej pracy.

Może dlatego nie pozwoliła Dalemie bardziej angażować się w Święto Leili, że Władcy Królestwa niechętnie patrzyli na wszelkie przejawy miejscowego kultu. Niby je tolerowali, ale przecież w świecie, gdzie jedyną i prawdziwą religią była wiedza, trudno było znaleźć miejsce dla innych bogów.

Zresztą, jak wszyscy wiedzieli, Darumom pomimo ciężkiej pracy wiodło się ostatnio i tak coraz gorzej. Byli mieszkańcami kolonii Supala w piątym pokoleniu. A piąte pokolenie, w tej i tak prawie zapomnianej przez Królów krainie, niestety oznaczało jedno – stopniowe ograniczanie przywilejów, rozluźnienie więzi z dworem i co najważniejsze – niemożność powrotu do Atlantydy...



4

Dalema obudziła się, choć na zewnątrz było jeszcze ciemno i nie było widać nawet najdrobniejszych, pierwszych oznak świtu.

Mimo że wczorajsze święto trwało bardzo długo i wrócili do domu późno, ona i tak nie mogła zasnąć. Nie widziała wczoraj Izbora, a miała nadzieję, że go spotka. Przecież nie widzieli się już od dwóch pełnych księżyców. Miała mu tyle do powiedzenia i chciała się tyle dowiedzieć od niego. Nikt nie rozumiał jej tak dobrze jak on.

Nie mogła zasnąć. Nie pamiętała, który to raz przekreślała się na drugi bok i bezskutecznie próbowała odnaleźć to właściwe miejsce na swoim sienniku. Myślała o tym, co będzie jutro, jaki będzie kolejny cykl w Ilumenie, czy może wreszcie będzie inaczej i kto z nich zostanie Wybrany...

I znowu nic. Sen nie nadchodził, zaczęła liczyć gwiazdy. Noc była bezchmurna i niebo było ich pełne. Wszyscy mówili, że to pomaga. Jej nie. Zresztą nigdy nie pomagało. Zaczęła więc dokładnie przyglądać się swojej izbie. Cóż, Pan Ojciec miał wiele

uzdolnień, ale prace domowe raczej do nich nie należały. Czasami miała nieodparte wrażenie, że jej pomieszczenie (podobnie jak i cały dom) zachowało w sobie pamięć krajobrazu po burzy i spustoszenia, jakie potrafi zostawić po sobie żywioł. Nic tu nie było na swoim miejscu i nic do siebie nie pasowało. Stół, przy którym się uczyła, był zaprzeczeniem wszystkich praw, które wykładano w Iluminie: ciężenia, siły, oddziaływania... Nie inaczej było też z pozostałym wyposażeniem. Pan Ojciec i Pani Matka nie mieli zbyt wielu wypracowanych dni, zresztą nigdy też nie przywiązywali wagi do materialnej strony życia. Odkąd pamiętała, nie otrzymali do domu nic nowego. Nie wymienili żadnego przedmiotu, tylko naprawiali i reperowali te stare. I to tylko wtedy, kiedy nie można już było ignorować uszczerbku, jaki wywierał na nie upływający czas.

W domu od zawsze priorytetem były zwoje. Nikt nigdy nie żałował na nie żadnego wypracowanego dnia. Mieli ich setki. Zajmowały dwie izby. Nikt w całej Supali nie miał takiego zbioru, nawet pierwsi mieszkańcy. Ta świadomość napawała Dalemę ogromnym poczuciem dumy. Nie powinna była tak myśleć, ale to dzięki nim czuła się choć trochę lepsza.

I ciągle nie mogła zasnąć. Rozglądała się więc dalej. Cóż, nie lepiej było ze ścianami. Powinny być gładkie i równe. Ale kiedy okazało się, że gładkie i równe tylko w teorii jest proste, postanowili, że jej izba będzie inna. Pan Ojciec nakładał zaprawę, a ona wraz z Dziadkiem odciskała na niej ślad swojej dłoni. Chyba nigdy nie była tak szczęśliwa jak wtedy. Ona, Pan Ojciec i Dziadek. Razem. Tylko we troje. Ani wcześniej, ani później nie byli sobie tak bliscy. Dziadek wskazywał, gdzie powinna dotknąć ręką i którą – prawą czy lewą, a gdy nie mogła dosięgnąć, podnosił ją w górę albo brał na barana. Trzeba przyznać, że pobielone później wapnem ściany dały interesujący efekt. Zarówno w ciągu dnia przy dziennym blasku słońca, jak i nocą, przy dyskretnym świetle świecy były... koszmarne i absolutnie nie

do zaakceptowania. Były po prostu najbrzydszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziała. Ale miała do nich sentyment, w końcu były wspólnym dziełem ich trójki. A teraz, po śmierci Dziadka, były jedną z niewielu rzeczy, która jej po nim została.

Odruchowo sięgnęła po talizman, który zawsze nosiła zawieszony na skórzanym rzemieniu na szyi. Odkąd otrzymała go od Dziadka, nigdy się z nim nie rozstawała. W każdym cyklu wymieniała tylko rzemień na nowy, by przypadkiem nie prze-rwał się i żeby nie straciła swojej najcenniejszej pamiątki. Choć – jak żartował Pan Ojciec – rzemień były warte więcej niż ten kawałek blaszki.

Księżyc wpadał do izby i mocnym światłem rozjaśniał pomieszczenie. Zdjęła z szyi talizman i zaczęła obracać go w palcach. Niewielki trójkątny kawałek metalu, zapewne jeszcze robiony przez Orbatoli, bo wyglądał na bardzo stary i zniszczony. Dwie krawędzie były idealnie gładkie i równe, widać było w nich precyzję cięcia i sztuk rzemieślnika. Ale trzecia już znacząco odbiegała od pozostałych, była nierówna i chropowata. Ścianki natomiast, zarówno przednia, jak i tylna, choć prawie nie różniły się od siebie, poza jednym drobnym szczegółem, były perfekcyjnie proste i gładkie.

Ten drobny szczegół robiący różnicę to niewielki ślad z tyłu talizmanu, dotykający samego środka najkrótszej krawędzi. Była w stanie wyczuć go pod palcami. Miał lekko wydłużony, owalny kształt, był wielkości ziarna grochu, może nieco większy. Jednak z powodu uszkodzeń nie mogła dokładnie stwierdzić, czym był. Wydawało się, że ktoś bardzo nieumiejętnie chciał coś na nim wyryć, a jedyne, co potrafił, to zniszczyć powierzchnię, pozostawiając ten dziwny znak.

Nadal mu się przyglądała i przesuwiała go w dłoniach. Miała wrażenie, jakby otrzymała ten prezent zaledwie wczoraj. Było to w drugim cyklu w Ilumenie, znowu wróciła przygnębiona, po kolejnym dniu, gdy rówieśnicy drwili z jej ułomności i jak zwy-

kle chciała w towarzystwie Dziadka znaleźć wytchnienie. Siedziała w ogrodzie.

– Ciężki dzień? – zapytał tylko, gdy ją zobaczył.

Kiwnęła głową, nie miała nawet siły, by wydobyć z siebie jakiegokolwiek słowo. Najchętniej po prostu rozkleiłaby się. Wystarczył jeden rzut oka Dziadka, aby dostrzegł, że jest z nią bardzo źle. Przywołał ją do siebie i objął ramieniem, gdy tylko przy nim usiadła. Wyjął spod tuniki niewielki przedmiot, który miał zawieszony na piersi i zaczął mu się przyglądać. Kilka razy widziała go na jego szyi, ale nigdy bliżej mu się nie przyjrzała.

– Mam go od dziewięciu cykli – powiedział, odwracając się do Dalemy.

– To tyle, ile ja żyję – stwierdziła zadowolona.

– Tak – uśmiechnął się. – Dokładnie. Zawsze wierzyłem, że jest moim talizmanem, że ochrania mnie i przynosi mi szczęście. – To mówiąc, zdjął go z szyi i podał jej. – Myślę jednak, że teraz bardziej przyda się tobie.

Chociaż była dzieckiem, nawet ona wiedziała, że kawałek blaszki nie może przed niczym ochronić. Zwłaszcza przed niechęcią i wrogością innych. Przyjęła jednak prezent z wdzięcznością. Cieszyła się, że będzie miała coś, co należało do niego. Jednak w tym samym momencie zrozumiała, że pozbawia Dziadka rzeczy, która miała dla niego tak duże znaczenie.

– Nie mogę go wziąć – powiedziała poważnie, odsuwając od siebie jego rękę z prezentem. – To przecież twój talizman.

– Obiecay tylko, że zawsze będziesz go nosiła – uśmiechnął się. – Zawsze. I nigdy go nie zgubisz. – I ponownie zamknął go w jej dłoni.

– Ale...

– I tak miał być twój.

Tak, kawałek starej blaszki i te okropne ściany to jej jedyne namacalne pamiątki po Dziadku.

Zresztą, prawdę powiedziawszy, to niewiele tych koszmar-

nych ścian w ogóle było widać. Wszędzie na ścianach i meblach znajdowały się niezliczone ilości kart. Kiedy okna w izbie były otwarte i do środka wpadał wiatr, zdawało się, że wszystkie nagle ożywały, drgały i poruszały się miarowo z każdym porywem powietrza. Te karty to także był pomysł Dziadka. Mówił, że warto spisać to, co nie daje spokoju, o czym ciągle się myśli i czego nie można zapomnieć albo zapamiętać. Jej karty to były głównie zapisy z pobieranych nauk, taka spuścizna po Ilumenie. Karty te mówiły o tym, co lubiła, co ją pasjonowało i chciała, aby głęboko zapadło jej w pamięć, bo warto było zapamiętania, ale też to, z czym się nie zgadzała, co wzbudzało jej opór i sprzeciw, a nade wszystko to, czego nie mogła zrozumieć i z czym miała problem.

– Dalemo, wstawaj, już czas – usłyszała z progu ciepły głos Pana Ojca.

Więc jednak zasnęła. Spojrzała na słońce. Już późno. A dzisiaj przecież nie mogła nie być na czas. Szybko wstała. Może jeszcze zdąży.

– Ta... ta... tak, Pani Ma... Ma... Matko, przepraszam. Zaspiałam – ostatnie słowa rzuciła, będąc już na zewnątrz. Woląla nie patrzeć na Panią Matkę. Mogła się domyślać, jak ogromna dezaprobata kryła się w jej oczach. Kątem oka zerknęła tylko i zobaczyła swoich pafros siedzących przy stole i widzących tylko siebie.

– Pamiętasz, jak po pierwszym dniu w Ilumenie powiedziała, że więcej tam nie wróci i że nie ma siły, która by ją tam zaciągnęła? – zaczęła Luna, zwracając się do Tarosa.

Ale Taros jej nie słuchał, tylko patrzył na nią i myślał, jak uroczo dzisiaj wyglądała. Chociaż była tak drobną i niewielką istotą, to przyciągała wzrok jak magnes, tak jak Księżyc, u nich nazywany Luną, po którym otrzymała imię. Te idealne kobiece proporcje nie pozwalały na obojętność. Oliwkowa cera dodawała blasku kocim oczom, które idealnie wykrojone w pociągłym

owalu twarzy zachęcały tajemnicą i łudziły obietnicą spełnienia. Dzisiaj, tak samo jak trzy dekady temu, przykuwała uwagę i intrygowała. Nadal była tak piękna jak wtedy, gdy się poznali. Wystarczyło tylko, że gdzieś się pojawiła. Nawet nie musiała robić nic więcej. W towarzystwie zawsze mogła być pewna uwagi mężczyzn i zazdrości kobiet. On sam nie mógł uwierzyć, kiedy spośród tylu innych wybrała jego. Wtedy był przecież tylko nic nieznaczącym, jednym z wielu, kandydatem na Opiekuna Zwójów.

Szkoda, że Dalema nie była podobna do Luny. Dalema. W przeciwieństwie do Luny, jego fili, była dość wysoka, jak mówiono – zbyt wysoka jak na kobietę. Była niewiele niższa od niego, a jeszcze rosła. Do tego pomimo swoich szesnastu cykli nadal miała dziewczęce ciało i niewiele śladów kobiecych krągłości. Spędzając czas głównie wśród zwójów, a nie w gajach jak większość dziewcząt, nie dawała swojej cerze nawet szans na ten legendarny brzoskwiniowy kolor Darumów. Jej włosy nie pachniały wiatrem, cera nie lśniła słońcem, a duże szaroniebieskie oczy patrzyły zawsze mieszaniłą zadumy i rozsądku. Tak, Dalema niewiele wzięła po Pani Matce. Na szczęście odziedziczyła te dołeczki. Jemu wystarczyło to w zupełności. A reszta? Reszta niewątpliwie przyjdzie z czasem.

Obserwował Lunę i myślał o tym, że dobrze by było, gdyby Dalema choć w minimalnym stopniu była tak podobna do Matki fizycznie, jak były podobne wewnętrznie. Ich charakter – tu podobieństwo było uderzające. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, że wszystkie trudności w ich porozumieniu brały się właśnie z tego podobieństwa.

– Pamiętam – odpowiedział wreszcie Taros przywołany do porządku czujnym spojrzeniem fili, przypominając sobie ich przerażenie, kiedy sądzili, że najmłodsza z Darumów zrezygnuje z pobierania nauk. – Zupełnie nie wiedzieliśmy, co robić.

Wszyscy byli przerażeni. Wiesz, nie mówiłem tego wcześniej, ale ja nawet myślałem, że to wpływ Tormana, że to on namieślał jej tak w głowie.

– Przestań, na Randoga. Nie możemy wymawiać jego imienia. Wiesz przecież, że to zabronione – rozejrzała się bacznie wkoło, upewniając się, że nikt nie słyszy.

– Wybacz. Ale nie umiem zapomnieć. Mam tylko nadzieję, że jest w stanie udźwignąć swoje przeznaczenie.

– Myślisz, że mi jest łatwo? Ale przecież nie możemy inaczej. Tak stanowi prawo. – I dodała, starając się powrócić do poprzedniego tematu: – Trwało to kilka dni. Nie skutkowały prośby ani groźby. Wyczerpaliśmy wszystkie argumenty, a Dalemą dopiero po rozmowie z twoim Panem Ojcem zgodziła się dać Ilumenowi jeszcze jedną szansę.

– Nie, to nie było tak. Spędziła z nim cały dzień, wróciła do domu wieczorem, usiadła przy stole, milczała chyba ze dwa obroty klepsydry i dopiero oznajmiła: „Dziadek ma rację. Trzeba wrócić do Ilumenu. Przecież nie mogę się bać. Muszę tylko odnaleźć swoją drogę”.

– Tak, masz rację, tak było. Nadal zastanawiam się, co miała na myśli. Ale to chyba od tego czasu zaczęło się noszenie tych dziwacznych ubrań, szukanie najszerszych tunik i zakładanie tych nijakich sukman.

– Przecież one są tak duże, że ty i ja zmieścilibyśmy się w nich oboje. Ja bym został w izbie, a ty mogłabyś wyjść na zewnątrz i może nawet dotarłabyś do Domu Praw.

– Tak, w końcu nie mieszkamy tak daleko od Środka...

Spojrzał na nią, nie kryjąc uśmiechu, ale i zdziwienia. Mieszkańcy Supali, którzy znali jego filę, nie uwierzyliby, że potrafi się w ogóle uśmiechać, o najmniejszym choćby poczuciu humoru nie wspominając. Znali ją tylko zza Ławy Praw. Wiedzieli, że jest surowa i bezwzględnie przestrzega zasad oraz reguł ustanowionych przez Władców. Potrafiła egzekwować je nie tylko od

innych, ale także od siebie i swojej rodziny. I nawet wtedy, gdy stało to w jawnej sprzeczności z jej matczynym sercem.

Tymczasem pod tą poważną, chłodną, opanowaną maską Strażnika Praw kryła się tętniąca życiem, niespokojna i niepokorna dusza. Luna dobrze umiała ukryć swoje prawdziwe oblicze. Która kobieta po tylu cyklach potrafiłaby jeszcze zaskakiwać? Czasami Taros miał nieodparte wrażenie, że tak niewiele o niej wiedział. Pomimo tylu wspólnie przeżytych cykli była dla niego wciąż nieodgadnioną tajemnicą.

Właśnie przed ostatnią prostą skręcał w prawo, kiedy ich zobaczył. Stali tam razem, dokładnie na wprost niego, niewielką grupą ośmiu, może dziewięciu mężczyzn. Ale jemu wystarczyło tylko jedno spojrzenie i od razu wiedział, kim są. Czy inni też wiedzieli?

Musiał szybko znaleźć jakiś sposób, aby podejść do nich, nie zwracając zbytnio niczyjej uwagi. Musiał zrobić to jak najszybciej, nim nie będzie za późno.

– Co tu robicie? Jak się dostaliście do miasta? Nie powinniście przecież przychodzić, jeszcze ktoś was rozpozna.

– Uspokój się! Ludzie patrzą.

– Jak mam się uspokoić?! Zaraz was zauważą.

– Teraz to jedynie twoje zachowanie sprawia, że ktoś się nami interesuje. Zachowaj spokój.

– Po co tu przyszliście? Przecież mówiłem, że nie wiem, kiedy zjawi się Namiestnik. Może to potrwać jeszcze dwa lub trzy pełne księżycy. Nawet nie rozpoczęli jeszcze przygotowań.

– Nie po to przyszedłem.

– Nie dlatego? To po co? – Wreszcie zrozumiał. – O, nie! Proszę, nie mów, że to właśnie dzisiaj. Tylko nie dzisiaj. Miasto jest pełne ludzi, zwiększono ochronę. Dzisiaj jest rozpoczęcie cyklu w Ilumenie.

– Kiedy pomyślę, że to już jedenaście cykli, odkąd odeszła... Nie mogę uwierzyć, że dałem radę przetrwać tak długo sam.

– Nie powinienes. Czy wiesz, co by się stało, gdyby ktoś cię zobaczył?

– Przyszedłem ją odwiedzić. Tylko ja jej zostałem.

Nie było sensu dalej dyskutować ani przekonywać. Podjął już decyzję.

– Uważajcie na niego. I na siebie – zwrócił się do otaczających ich mężczyzn. – Ja nie mogę dłużej z wami zostać. Muszę iść.

Odchodził pośpiesznie, sprawdzając, czy jego nietypowe zachowanie nie ściągnęło zbyt wielu ciekawskich spojrzeń. Chyba jednak nie. Na ulicach panował ogromny ruch, wszyscy się gdzieś śpieszyli i mieli zbyt wiele swoich własnych spraw na głowie, aby zajmować się innymi.

Może więc jednak uda się im. W końcu Plac Pamięci nie będzie dzisiaj najważniejszym miejscem w mieście. Bardzo chciał wierzyć, że tak właśnie będzie.

Wszyscy wiedzieli, że ten cykl będzie najważniejszy. Wszyscy to wiedzieli i powtarzali nieustannie. Dalema także. Czekwała na ten moment, odkąd zaczęła naukę. Czekwała na niego, a teraz, kiedy nadszedł, bała się, że przyniesie to, co dawał zawsze Ilumen – rozczarowanie.

Jednak nawet złe wspomnienia w niczym nie zmieniały jej bałwochwalczego stosunku do niego. Mieszanina nieustającej pasji i fascynacji towarzyszyła jej zawsze, kiedy widziała gmach Ilumenu i przekraczała jego mury. Nic nie było w stanie sprawić, by przestała szanować i podziwiać to miejsce. Bo Ilumen był po prostu najpiękniejszym miejscem w całej Supali. I nie tylko dlatego, że pozwalał zbliżyć się do boskiej wiedzy Władców. Mieścił się w najstarszym z czterech gajów miasta. Pełen był roślin, które nie rosły nigdzie indziej w Supali. Kwitły w nim kwiaty przywiezione z innych kolonii. Wyglądał zawsze i pachniał jak najcudowniejsze miejsce na ziemi.

Dalema zobaczyła, że przed wejściem do Ilumenu kręcą się tłumy. Pewnie za chwilę otworzą. Zbliżając się do głównych drzwi, rozglądała się uważnie, nie chcąc przegapić Izbora.

– Szukałem cię – usłyszała jego głos za plecami.

– Ja... ja... ja ciebie też – spojrzała na niego, szczęśliwa, że wreszcie jest obok.

– Może gdzieś się zaszyjemy. Przecież ten fragment przerażaliśmy już tyle razy.

– Ni... nie. Ni... nie możemy wyjść. To... to... to taki ważny dzień. To najważniejsze rozpoczęcie ze wszystkich, Izbor. Musimy zostać.

– Wiesz, czasami zupełnie nie rozumiem, dlaczego ja cię jeszcze toleruję. Jesteś tak przewidywalna. Ucieleśnienie nudy. Jak ktoś chce powiedzieć „nuda”, to równie dobrze może powiedzieć „Dalema”. Może byś sobie od czasu do czasu odpuściła? Może tak zrobiłabyś wreszcie coś spontanicznie?

– Przestań marudzić. Chodź, podejźmy bliżej.

Powód do znalezienia się blisko Mistrzów był jeszcze jeden – Zamir. On zawsze, odkąd tylko sięgnęła pamięcią, znajdował się w pierwszych szeregach. Pewnie teraz też tak będzie. Jakkolwiek dawno zaakceptowała fascynację Zamirem, to wciąż jej jeszcze nie rozumiała. Nie pojmowała nawet, co ją w nim pociągało i zupełnie nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, czego tak naprawdę od niego oczekiwała. Jednak wszystkie wątpliwości, które nią targaly, wszystkie odpowiedzi, które nigdy nie padły, stawały się bez znaczenia, gdy pojawiał się w zasięgu jej wzroku. Jak to było możliwe?

Rozpoczęcie cyklu jak zwykle odbywało się w Sali Kolumnowej. Tym razem wydawało jej się, że ilumenów jest więcej. Belzbor, Pierwszy ze Strażników Praw, jak w każdym cyklu, także i teraz prowadził uroczystość rozpoczęcia. I jak zwykle mówił to samo. Zawsze zwracał się do najmłodszych, pierwszych cykli, tłumacząc im istotę i sens istnienia Ilumenu.

– Jesteście tu, bo macie szczęście być tutaj. Dobrze wykorzystajcie swoją szansę. Niech każdy z dziesięciu cykli będzie dla was bezcenny. Niech każdy z nich przyniesie wam mądrość ku chwale Supali i na użytek Władcom.

A potem zaczynał wyjaśniać tak dobrze wszystkim znaną specyfikę Ilumenu.

– Jedyną słuszną wartością kolonii jest wiedza – grzmiał. – A wiedza ta jest równa sumie mądrości poszczególnych członków społeczności. Stąd też, szanując zasady ustanowione przez Królów, w Supali wprowadziliśmy dziesięć cykli nauki, które dzielą się na trzy etapy. Pierwszy nosi nazwę Trany. Uczymy w nim czterech przedmiotów: algebry, nauki języków, retoryki, czyli sposobu poprawnego wysławiania się oraz dialektyki, czyli nauki logicznego myślenia. Drugim etapem jest Deką, podczas której będziecie nauczani dziesięciu przedmiotów: kosmologii, ziemiologii, logiki, chemii, fizyki, astronomii, meteorologii, metafizyki, psychologii, mechaniki. Ostatnie dwa cykle są mieszane. Razem uczą się najstarsze cykle z tymi o jeden cykl młodszymi. Celem jest utrwalenie sobie zapamiętanej wiedzy, pomoc młodszym ilumenom oraz rozwój w zakresie własnych zainteresowań. Ten cykl ze wszech miar jest wyjątkowy – donośniejszym głosem podkreślił wagę wypowiedzianych słów. – Po raz pierwszy od dziesięciu obrotów zostanie dokonany Wybór. Oczywiście zgodnie z zasadami wezmą w nim udział wszyscy ilumeni spełniający wymagania nałożone przez Królów. A teraz proszę wszystkich, a zwłaszcza ilumenów najmłodszego cyklu, aby powtarzali za mną:

*Stwórco wszechrzeczy
Daj nam odwagę, której chcemy
Prawdomówność, której potrzebujemy
Daj nam niezależność, której pragniemy
Pracowitość, bez której żyć nie możemy
Daj nam wytrwałość i honor nam daj
A kiedy życie wystawi na próbę,
wierność daj i samodyscyplinę.*

– Życzę wam mądrości. Ku chwale Supali!

– Chwała Supali! – w odpowiedzi rozległy się zgrane okrzyki ilumenów.

Wśród tego poruszającego się i ożywionego tłumu Dalema dostrzegła wreszcie i jego. Zamir stał wśród grupy adorujących go dziewczyn i podziwiających kolegów. Wszyscy zapatrzeni w niego, słuchający, co ma do powiedzenia.

Tak, był niekwestionowanym liderem, każdy chciał choć przez chwilę być z nim, aby i na niego spłynęła choć część splendoru i sławy, która go otaczała. Tak bardzo zapatrzyła się na Zamira, że zupełnie zatraciła poczucie czasu i miejsca. Ledwo usłyszała słowa Izbor.

– To twój cykl, Dalemo. Musisz dobrze wykorzystać ten czas. Drugiej szansy nie będziesz miała.

– O czym ty mówisz, Izbor?

– Kiedy wreszcie się odważysz? Całe życie będziesz tylko spuszczać wzrok i wzdychać po kątach? Żałosne. Kiedy wreszcie mu powiesz? Kiedy? Ja mam to zrobić za ciebie?

– Ni... ni... nie potrzebuję litości. Iiiiiiii nawet się ni... ni... nie waź ingerować w moje sprawy.

– Ja chyba nigdy cię nie zrozumiem. Wiesz więcej niż ktokolwiek z nas, ale nigdy się nie odzywasz i nie dajesz żadnych odpowiedzi. Masz w sobie tyle dumy, ale każdemu pozwalasz na drwiny i zaczepki. Zawsze jesteś spokojna i na wszystko się zgadzasz, nic ci nie przeszkadza i nikomu nie chcesz przeszkadzać ani wchodzić w drogę. Jak długo będziesz jeszcze udawać, że jesteś tylko cieniem, powietrzem, że cię nie ma?

Poczuła się dotknięta. Jak Izbor mógł tak o niej myśleć? Ocena przyjaciela była krzywdząca, chociaż może miał trochę racji. Dziadek też przecież mówił, że kompromisy, ustępstwa muszą mieć granice. Że jest pewien limit, którego przekroczyć nie można. Że każdy człowiek nosi ten limit w sobie. Że są zasady i wartości, które nigdy nie mogą być naruszone. A jeśli

się tak stanie i złamie się zasady albo przekroczy granice, to przestaje się istnieć. Bo człowiek wtedy po prostu przestaje być człowiekiem.



7

Nazajutrz Dalema szła do Ilumenu szybkim krokiem, ale czuła się tak, jakby poruszała się do przodu wbrew sobie i jakby w każdej chwili niczego tak nie pragnęła, jak tylko zawrócić. Dzisiaj nie tylko pierwszy raz będzie miała zajęcia razem z Zamirem, ale też będzie je prowadził Mistrz Mansfeld. Czy mogło być gorzej? Jak to jest, że jedni mają wszystko, podziw i zachwyty grupy, a drugim pozostaje tylko rola ilumenowych błaznów?

Dotarła na miejsce w ostatniej chwili. W drzwiach prawie zderzyła się z Zamirem. Cóż, może przynajmniej pierwszy raz w życiu ją zauważył. Nie czekając na jego reakcję, wymamrotała coś szybko pod nosem i nie podnosząc oczu, zajęła swoje miejsce obok Izbora.

– Masz rację, najlepiej na początku go zamroczyć – ukontentowany kiwał głową. – Bardzo słusznie, przecież nim ty zdążyś powiedzieć „witaj”, to chłopak będzie musiał już iść, bo się zajęcia skończą.

Otwierała usta, żeby odpowiedzieć przyjacielowi, gdy zdała sobie sprawę, że nagle wszyscy umilkli. Do pomieszczenia wkroczył

Mistrz Mansfeld, aby poprowadzić zajęcia. Dalema tylko na niego spojrziała i poczuła ogarniającą ją panikę. Nauczyciel przez chwilę ślizgał się wzrokiem po grupie. Na moment zatrzymał spojrzenie na niej. Na Randoga, będzie jeszcze gorzej, niż myślała...

– Ilumeni, widzę, że niestety z większością z was znamy się z poprzednich cykli, a reszta też nie wydaje się być zbyt obiecująca. Tak jak sądziłem, będzie to ciężki cykl dla mnie, ale uwierzcie mi, dla was też taki będzie. Supala nie jest wybijającą się kolonią, Władcy postrzegają ją jako zaścianek Królestwa, który w ogóle by nie istniał, gdyby nie złoża. Moim obowiązkiem – ba! – powinnością wszystkich Głoszących Prawdę jest zmienić tę sytuację. Zmienić miejsce Supali w hierarchii kolonii, zmienić je dzięki ilumenom. Dzięki waszej wiedzy. Tylko co można zrobić z wami?! Jak można zbudować posąg, mając za materiał łajno takta?! – Spokojne, wolno artykułowane słowa Mistrza docierały do zmarłej w bezruchu sali. Mistrz Mansfeld powoli chodził po proskeniu i baczny okiem lustrował wszystkich. – W takim razie zaczniemy od powtórzenia. Sprawdźmy, czy ciężka praca Mistrzów dała jakieś efekty!

I tak właśnie zaczął się najważniejszy cykl w jej życiu. Przez większość czasu Mistrz Mansfeld na przemian grzmiał i śmiał się, wytykając ignorancję i niewiedzę. A nawet tam, gdzie nie mógł doszukać się braków, znajdował inne powody, aby pokazać, jak niewiele są warci. Nie mogła się doczekać końca dnia. Jak długo jeszcze słońce każe czekać?

– Katara! I co, znowu nie potrafisz porównać wzoru na metamor altomu i metamor żywego srebra?

Ponad setka spojrzeń wpatrywała się uparcie w stojącą wśród nich drobną istotę. Dziewczyna niezwykle szczupła i niska od kilku minut bezskutecznie próbowała odnaleźć właściwą odpowiedź na zadane pytanie. Trudno było odgadnąć, co myśli i czy w ogóle rozumie powagę sytuacji, bo wzrok wbiła w ziemię i nic nie mówiła. W zasadzie to nawet się nie poruszała.

– Katara, czy istnieje większa próżnia w przestrzeni niż ta pomiędzy twoimi uszami? Długo mam czekać? Chciałbym jeszcze w tym cyklu wrócić do domu.

Jednak ani wzgardliwe spojrzenia, ani ironiczne słowa Mistrza w niczym nie pomagały stojącej dziewczynie. Z pewnością nie miały mocy mobilizującej.

– Że rozum straciłaś jakiś czas temu, to wiem, w zasadzie to się zastanawiam, czy go w ogóle miałaś. Ale słyszę, że tobie także mowę odebrało! Patrz na mnie, jak do ciebie mówię!

Ale dziewczyna nie podnosiła wzroku, stała skulona i milcząca.

– Myślę, że dobrze ci zrobi, jak przemyślisz problem. Kącik „wybitnych inaczej” czeka.

Daleka aż się wzdrygnęła. Świadomość tego, że ktoś będzie musiał tam być i przypomnienie bólu, z jakim to miejsce się wiązało, były przerażające.

Wspomnienia wróciły do niej błyskawicznie. Jej pierwszy dzień w Ilumenie, samotne miejsce z dala od innych i pytanie Mistrza Faldjansa, jak ma na imię. A ona stała i nie potrafiła nic powiedzieć, tylko bezradnie jękała: „Da... Da... Da...”. Doskonale pamiętała tamten śmiech Ilumenów. Jeszcze jej nie znali, nie wiedzieli, jaka jest, ale w tamtej chwili każdy z nich przylepił jej łatkę. Wsadzono ją do odpowiedniej szuflady i na wierzchu napisano „nieudacznik”. Od tamtej pory taki śmiech towarzyszył jej zawsze. Wszyscy przecież uważali, że kiedy ona wstaje do odpowiedzi albo stara się zabrać głos, to będzie to idealna okazja i czas na rozrywkę. I chociaż z czasem przyzwyczaiła się do śmiechu, to nigdy go jednak nie zaakceptowała.

A potem było już tylko gorzej. Mistrz Faldjans często starał się ją wciągnąć w dyskusję i oswoić z mówieniem w grupie, więc kilka razy dziennie próbował i nieustannie wywoływał do odpowiedzi. Teraz wiedziała, że robił to dla jej dobra. I może gdyby miała taką szansę dzisiaj, to by z niej skorzystała. Ale niestety, wtedy nie potrafiła. Im bardziej Mistrz starał się i ją zachęcał,

tym gorzej wpływało to na nią. A potem stary Mistrz odszedł i zaczął się prawdziwy koszmar.

Rozpoczęli zajęcia z Mistrzem Mansfeldem. Klęczenie na kamieniach, ciągle drwiny i nieustanne upokarzanie to był chleb powszedni. Dni, kiedy wracała z pokrwawionymi kolanami i musiała ukrywać rany przed pafros. Powszechnie było wiadomo, że między kamieniami znajdowały się potłuczone szkła, ale nikt z ilumenów nigdy nie ośmielił się powiedzieć tego na głos. Nawet będąc sami, szepcząc w korytarzach, nie rozmawiali o tym ze sobą. Milczeli.

– Widać, że w tym cyklu Mistrz Mansfeld znalazł sobie nową ofiarę. Oj, Dalemo, nie starałaś się zanadto i chyba się znudziłaś. Wydaje mi się, że teraz Mistrz ma nową ulubienicę – usłyszała obok cichy głos Izbora. – Może się zaprzyjaźnicie, w końcu tyle was łączy...

Nie usłyszała jego ostatnich słów, bo jakaś niepohamowana siła sprawiła, że wstała z miejsca i zaczęła schodzić w dół schodami do proskenium. Spojrzenia wszystkich ilumenów skupiły się w tej chwili na niej. Po raz pierwszy patrzyli na nią nie z politowaniem, ale ze zdziwieniem. Przeszła obok Antamii i zobaczyła jej niedowierzające spojrzenie i otwarte z poruszenia usta. Oplacało się, chociażby dlatego. Warto było to zobaczyć. Może gdyby wiedziała, że wywoła aż takie poruszenie, już dawno zdobyłaby się na odwagę.

Co w nią wstąpiło? Nigdy wcześniej nie czuła takiej wewnętrznej siły jak dzisiaj. Nie miała w sobie tej mocy ani wiary, że dobrze robi, że postępuje właściwie. Nie przeraziło jej nawet spojrzenie Mistrza. Zresztą on też przez chwilę zamarł i chyba nie wiedział, jak ma zareagować i co zrobić. Wreszcie, kiedy była już na dole i dosłownie otarła się o niego, poruszając skraj jego szaty, przemówił:

– Czy ty, Dalema, pomyliłaś drogę i czas? To nie jest jeszcze koniec zajęć, a to nie jest droga do wyjścia.

– Ta... ta... tak, Mistrzu, wiem, ale ja... ja... ja też nie potrafię porównać tych wzorów. – I to mówiąc, uklękła obok Katary. Poczula szkło pod kolanem. Mistrz odpowiednio przygotował się na ten cykl.

– Kto jeszcze nie potrafi dokonać tego porównania? Pytam się, kto jeszcze? – krzyk Mistrza Mansfelda słyszano chyba w całym Ilumenie. Nigdy wcześniej nie widziała, aby był tak zdenerwowany. Nigdy wcześniej nie czuła od nikogo tak ogromnej agresji i wściekłości. No, może poza Antamią, ale to było co innego. A ona, zamiast czuć paraliżujący strach i przerażenie, zastanawiała się nad sytuacją. Zdobyła się na coś, co jeszcze dzisiejszego poranka wydawało się absolutnie niemożliwie i nieprawdopodobne. Dlaczego to zrobiła? Dlaczego zdecydowała się na solidarność z kimś, kogo nawet nie знаła?

Kolana bolały ją coraz bardziej. Musiała zmienić pozycję. W tej nie była w stanie wytrwać nawet chwili dłużej. Spróbowała poruszyć się delikatnie, tak aby Mistrz nie dostrzegł tego ruchu. Nie wolno było się poruszyć. Takie były zasady. Trzeba było podczas całej kary trwać nieruchomo. Ostrożnie, powoli podniosła kolano i powolutku przesunęła w prawo. Przez chwilę odczuła niewyobrażalną ulgę, ale kiedy opuściła nogę i kolano ponownie zetknęło się z podłożem, niemalże krzyknęła z bólu. Musiała nadzieć się na wyjątkowo ostry szklany szpikulec. Tylko że teraz nie mogła zrobić już nic więcej. Widziała, że szkło przebiło jej skórę. W myślach, które podsuwała jej wyobraźnia, widziała, że swym ostrym końcem rysuje jej kość.

To chyba jednak nie było możliwe i lepiej było się nad tym nie zastanawiać. Starła się skupić uwagę na czymś innym. Próbowwała słuchać prowadzonych przez Mistrza zajęć, wsłuchiwała się w odpowiedzi grupy i kolejne kąśliwie uwagi prowadzącego. Wreszcie zaczęła myśleć o konsekwencjach. Czy Mistrz przekaze sprawę dalej? Czy poinformuje Radę Głoszą-

cych Prawdę albo – co gorsze – Strażników Praw? Z rozmyślań wyrwał ją głos Mistrza.

– Koniec zajęć. Możecie opuścić salę. Wy zostajecie. – Chyba wskazał na nie, ale nie była pewna, bo klęczały tyłem do wszystkich, z nosem przy samej ścianie.

Co teraz będzie? Chciała coś zrobić, zapytać, co z nimi, ale wolała nie poruszać się więcej, tylko czekać na kolejne polecenia. Może niewiedza wcale nie była najgorsza. Może złudzenia są lepsze. Dają przynajmniej jakąś nadzieję. Kątem oka zobaczyła, że jej ubranie w okolicach kolan nabiera coraz ciemniejszej, intensywniejszej barwy. Czyżby to była krew? Nie odczuwała jednak żadnej wilgoci, nie czuła, aby ubranie było mokre. Tak naprawdę w nogach nie czuła nic. Były całkowicie zdrętwiałe.

Nie wiedziała, ile czasu minęło, bo słońce już dawno zaszło i otaczał je tylko blask świec znajdujących się na stole Mistrza. Mijały kolejne minuty, a one w kompletnej ciszy wciąż klęczały. Jedyny dźwięk – odgłos przekładanych kartek – w pewnej chwili też ucichł. Co będzie dalej?

– Wstańcie. Idźcie już – głos Mistrza Mansfelda był znowu spokojny i opanowany.

Podniosły się obie. Najpierw nie były w stanie w ogóle wstać samodzielnie. Patrzyły bezradnie jedna na drugą. Spróbowały się podnieść, podpierając na rękach, ale to także niewiele pomogło. Nogi odmawiały im posłuszeństwa. Przerazenie narastało w nich coraz bardziej. Widziała je w oczach Katary. Pewnie jej oczy wyglądają podobnie.

– Szybciej! Na co wy jeszcze czekacie! – głos Mistrza potrafił czynić cuda.

Nie wiedziała ani w jaki sposób się to stało, ani kiedy, ale nagle zorientowała się, że obie stały na drżących nogach. Przez chwilę nie mogły w ogóle ustać, bo w zdrętwiałych kolanach najpierw nie było czucia, a potem powoli napływająca krew za-

częła wywoływać silne odrętwienie. Jednak żadna z nich nie chciała zostać tu nawet chwili dłużej niż to konieczne. Z grymasem bólu na twarzy, powłócząc nogami, obie szybko opuszczały pomieszczenie.

Przechodząc przez główne wyjście, Katarą odezwała się. Cicho, prawie niedosłyszalnie, ale stanowczo i dobitnie.

– Dlaczego to zrobiłaś?! Nikt cię o to nie prosił! Nie potrzebuję cię, Dalemo!

– Wiem. To ja potrzebuję ciebie.

Katarą nie odpowiedziała. Minęła ją tylko i bez słowa odeszła. Patrzyła za nią. Widziała, jak próbowała iść szybkim, miarowym tempem. Tylko że nic jej z tego nie wychodziło. Oddalała się od Ilumenu bardzo powoli...

To był długi dzień, na nią też już pora.

Nagle Dalema usłyszała, że ktoś nadbiega. Odwróciła się i zobaczyła Izborę. Zdyszany, z zaczerwienionymi od wysiłku policzkami i nie widzieć czemu wyraźnie na nią zły, wydyszał:

– Mówiłem tylko, że masz się z nią zaprzyjaźnić, a nie rozdrażniać Mistrza Mansfelda. Gdzie twój instynkt samozachowawczy? Czy ty się z taktem na rozumy pozamieniałaś?

– Przestań, Izbor. Nie jestem w nastroju. Zostawmy twoje złote myśli na kiedy indziej.

Spojrzała na swoje nogi. Podciągnęła tunikę powyżej kolan i zobaczyła ranę, w której wciąż tkwił kawałek szkła. Izbor bez słowa schylił się i wyjął z rany odłamek, krew zaczęła teraz płynąć bardzo szybko. Zasnęta rana nabierała nowego, jaskrawego koloru. Nim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować, udarł dół jej sukni i przewiązał ciasno kolano.

– To przynajmniej myśl, dziewczyno. Na Randoga, myślenie ma przyszłość.

Objął ją mocno w tali, ona oparła się na jego ramieniu. I tak, wspierając się na nim i utykając nieustannie, ruszyli w stronę domu.